

Charlie Engle

BIEGACZ



GALAKTYKA

Charlie Engle

BIEGACZ

Przekład: Jacek Żuławnik

G A L A K T Y K A

Tytuł wydania oryginalnego:

Running Man

Copyright © 2016 by Charlie Engle

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

First published by Simon & Schuster, Inc.

This translation published by arrangement with Simon & Schuster, Inc.

Wydanie oryginalne opublikowało Simon & Schuster, Inc.

Niniejsze wydanie opublikowano na podstawie umowy z Simon & Schuster, Inc.

Wydanie polskie © 2016 by Galaktyka sp. z o.o.

90-644 Łódź, ul. Żeligowskiego 35/37

tel. +42 639 50 18, 639 50 19, tel./fax 639 50 17

e-mail: info@galaktyka.com.pl; sekretariat@galaktyka.com.pl

www.galaktyka.com.pl

ISBN: 978-83-7579-557-8

Konsultacja: *Magdalena Ostrowska-Dołęgowska*

Redakcja: *Elżbieta Derelkowska*

Redakcja techniczna: *Marta Sobczak*

Korekta: *Malwina Łozińska, Monika Ulatowska*

Redaktor prowadzący: *Marek Janiak*

Fotografie na okładce: *Rod McLean*

Projekt okładki: *Artur Nowakowski*

Skład: *Garamond*

Druk i oprawa: KMDRUK

Księgarnia internetowa!!!

Pełna informacja o ofercie, zapowiedziach i planach wydawniczych

Zapraszamy

www.galaktyka.com.pl

e-mail: info@galaktyka.com.pl; sekretariat@galaktyka.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez pisemnej zgody wydawcy książka ta nie może być powielana ani w częściach, ani w całości. Nie może też być reprodukowana, przechowywana i przetwarzana z zastosowaniem jakichkolwiek środków elektronicznych, mechanicznych, fotokopiarskich, nagrywających i innych.



ROZDZIAŁ 4

*A ja, maleńki człowieczek, odurzony wielką gwiazdzistą otchłanią,
podobieństwem, obrazem tajemnicy,
poczułem się wyraźną częścią tego bezmiaru,
kręciłem się razem z gwiazdami,
na wietrze moje serce zerwało się z uwięzi.*

– PABLO NERUDA, „POEZJA”

Zakończyłem dwudziestoosmiodniowy program w Beacon House i poświęciłem się trzeźwości. Codziennie chodziłem na spotkania AA. Rzuciłem się w wir biegania nie dlatego, że tak je uwielbiałem – miłość do biegów miała przyjść dużo później – ale ponieważ stanowiło zarówno dla mnie, jak i dla innych namacalny dowód tego, że sobie radzę. Zapisalem się na maraton w dolinie Napa – trochę po to, żeby się przekonać, jakie to uczucie, kiedy pokonuje się taki dystans na trzeźwo, a trochę z ciekawości, czy dałbym radę zakwalifikować się do maratonu w Bostonie. Mama była wśród widzów i widziała, jak pobiegłem w trzy godziny i siedem minut. Pięć tygodni później stanąłem na starcie biegu w Hopkinton w stanie Massachusetts, a w kolejnym tygodniu ponownie wziąłem udział w maratonie Big Sur, tym razem na trzeźwo i w ramach trzynastoosobowej „stonogi”, czyli zespołu składającego się z biegaczy połączonych elastyczną liną, taką jak do bungee. Stonogowe zespoły cieszyły się popularnością zwłaszcza w krótkich, rozrywkowych biegach, na przykład dwunastokilometrowym Bay to Breakers w San Francisco; byliśmy pierwszą stonogą na trasie Big Sur. Troje członków drużyny odpadło z zawodów, ale pozostała dziesiątka dotarła na metę w czasie krótszym niż trzy godziny i trzydzieści minut, co stanowiło nasz cel. Dwa razy zdarzyło nam się nawet zatrzymać na grupowe sikanie. Zdjęcie naszej stonogi ukazało się na czwartej stronie okładki „Runner’s World”. Dopingowali mnie znajomi i chyba nawet tata był pod wrażeniem mojego biegania oraz zaangażowania w trzeźwość.

Trzeźwość zaś była fantastyczna. W półtora miesiąca wystartowałem w trzech maratonach i wszystkie ukończyłem z przyzwoitym czasem. Nieźle mi się wiodło w pracy i dobrze układało w domu. Trzymałem się programu dwunastu kroków. Wytrzymałem pięćdziesiąt dni bez picia, potem sześćdziesiąt, osiemdziesiąt... Wręczenie żetonu za trzy miesiące bez alkoholu odebrałem jako punkt zwrotny. Niewłaściwie je zrozumiałem, potraktowałem jak wręczenie swego rodzaju dyplomu, potwierdzenie tego, że trzeźwość mam już w kieszeni. Po czym, z powodów, których nigdy nie zrozumieć, odpuściłem sobie. Przestałem kontaktować się ze swoim sponsorem i zrezygnowałem z chodzenia na mityngi.

Zamiast tego skupiłem się na pieniądzach. Gruchnęła porażająca wieść, że likwidują bazę wojskową Fort Ord. Żołnierze i ich rodziny od lat stanowili motor miejscowej gospodarki. Wiedzieliśmy, że kiedy odejdą, wartość naszego domu spadnie na łeb na szyję, a sprzedaż Toyoty drastycznie się obniży. Musiałem znaleźć inne źródło zarobku. Mój znajomy Joe, którego poznałem na siłowni sieci Golda, opowiedział mi o nowej metodzie naprawiania samochodów, kryjącej się pod skrótem PDR (ang. *paintless dent repair*). Polegała na usuwaniu wgnieceń karoserii w autach – które zostały uszkodzone na przykład podczas silnego gradu – bez konieczności lakierowania; dzięki niej sprzedawcy samochodów i firmy ubezpieczeniowe oszczędzali spore sumy. Joe wybierał się do Oklahoma City na szkolenie z tej techniki i zaproponował, żebym pojechał razem z nim. Pam i mój ojciec byli przeciwni.

– Znalazłeś coś, w czym jesteś dobry – powiedział tata, mając na myśli handlowanie samochodami. – Po co z tego rezygnować?

Pam przypomniała mi, że na wczesnym etapie trzeźwości dokonywanie istotnych zmian w życiu nie jest wskazane. Jak zwykle uznałem jednak, że obiegowe sądy mnie nie dotyczą, i pojechałem z Joem do Oklahoma City.

Pod koniec każdego dnia szkolenia większość mężczyzn w mojej grupie szła się napić, a ja wracałem prosto do motelu. Po ostatnich zajęciach pozostałym kursowiczom udało się wszakże namówić mnie na wyjście do baru i uczczenie zakończenia kursu. Uznałem, że nic się nie stanie, jeśli im potowarzyszę. Przecież mogę sączyć wodę. Usiadłem przy barze i ktoś postawił przede mną kieliszek tequili. Wbiłem w niego spojrzenie. Miałem ochotę, naprawdę chciałem się napić, ale wiedziałem, że nie mogę.

Z drugiej strony nadarzyła mi się doskonała okazja do udowodnienia, że potrafię pić jak normalny człowiek. Zyskałem szansę pokazania nowego oblicza: człowieka, który wie, kiedy przestać, i potrafi się kontrolować. Sięgnąłem więc po kieliszek i go wychyliłem. Poczulem przepływające przeze mnie cudowne

ciepło, jak szybko spalający się lont, który zapłonął w mojej głowie i zgasł dopiero w stopach. Poprosiłem o jeszcze jedną kolejkę, potem o piwo, o drugie piwo i kolejny kieliszek, a później ... cholera, nie wiem, co się wydarzyło. Następnego dnia obudziłem się skacowany i zdumiony tym, jak łatwo sięgnąłem po tę pierwszą tequilę. Poddąłem się właściwie bez walki i zawałem pół roku trzeźwości. Wstydzilem się swojego zachowania, ale pocieszałem się tym, że przynajmniej zrobiłem to względnie po cichu. Ani Pam, ani ojciec nie wiedzieli, że piłem, a ja nie zamierzałem im o tym mówić. Zresztą nie planowałem powrotu do regularnego picia, więc po co się spowiadać?

Po powrocie do Kalifornii koniecznie chciałem wypróbować nowe umiejętności, toteż zacząłem obdzwanianć dilerów samochodów. Któregoś dnia udało mi się wkręcić do gabinetu kierownika największego salonu Hondy w środkowej Kalifornii. Powiedziałem, że mam do zaproponowania usługę, dzięki której sporo zaoszczędzi, i chciałbym dokonać darmowej prezentacji tejże. Zaintrygowałem go na tyle, że wręczył mi kluczyki do auta, które miało wgniecenie w drzwiach, i skierował mnie na wolny plac w rogu parkingu. Poprosiłem o ustronne miejsce, ponieważ technika, którą chciałem pokazać, była pilnie strzeżoną tajemnicą.

Zabrałem się do pracy. Już po kilku minutach zdałem sobie sprawę z tego, że dwa tygodnie kursu PDR to mniej więcej o trzy miesiące za mało. Nie było sposobu, abym przez szczelinę szyby dosięgnął wgniecenia ręcznymi narzędziami, którymi dysponowałem. Musiałbym rozebrać drzwi. Co też zrobiłem. Wreszcie udało mi się umieścić narzędzie na wysokości wgniecenia, ale moje nieudolne próby naprawienia uszkodzenia skończyły się tym, że wyglądało gorzej niż na początku.

Kiedy zobaczyłem, że zbliża się kierownik salonu, podbiegłem do niego, żeby odwrócić jego uwagę, zanim zobaczy, w jakim stanie znajduje się samochód.

– Już prawie skończyłem – zapewniłem. – Zaraz go przyprowadzę.

Nie wiedziałem, co począć. Zrobiło mi się słabo. Poszedłem do łazienki, po drodze mijając pokój kierownika. Zauważyłem, że na drzwiach wisi szafka z kluczami. Wiedziałem, że każde auto na parkingu ma swój numer, odpowiadający numerowi na kluczyku. Zaświtał mi pomysł. Wyszedłem na zewnątrz i zanotowałem numer kluczyka do jednej z bordowych hond accord, identycznej jak ta, którą próbowałem naprawić. Założyłem z powrotem spartaczone drzwi i zaparkowałem wóz najdalej od budynku, jak się dało. Podmieniłem kluczyk, po czym zajechałem nowym samochodem pod drzwi salonu – akurat kiedy ukazał się w nich kierownik.

– Gotowe! Bardzo proszę – powiedziałem, wysiadając.

– Fantastycznie! Oczom nie wierzę. Wygląda jak nowy. – Pogratulował i zapytał, czy nie miałbym ochoty naprawić z marszu więcej aut.

– Chętnie – odparłem – ale jestem zavalony pracą.

Zaproponował, że zapłaci, lecz odmówiłem, tłumacząc, że pierwsza naprawa jest na koszt firmy. Kontaktował się ze mną potem, oferując kolejne zlecenia, ale nie oddzwaniałem.

Joe też już zdążył się zorientować, że naprawianie wgnieceń idzie kulawo, zgadaliśmy się więc i zadzwoniliśmy ze skargą do organizatorów kursu. Ci zaprosili nas do Rapid City w Dakocie Południowej, skąd dostali zlecenie na naprawę całej floty aut uszkodzonych przez grad. Zapewnili, że tym razem naprawdę nauczymy się fachu oraz – to zwróciło moją uwagę – że zapłacą nam za poświęcony czas. Spakowałem się i dotarłem na miejsce po dwóch dniach jazdy.

Po kilku tygodniach nabrałem biegłości. Samochody po moich naprawach rzeczywiście wyglądały jak nowe. Byłem dumny z osiągnięć, jak również z tego, że podczas pobytu w Rapid City trzymałem się z dala od kłopotów – z wyjątkiem jednego wieczoru, kiedy z chłopakami wybraliśmy się na koncert Merle'a Haggarda i Clinta Blacka. Pamiętam, że osuszyłem flaszkę, którą ktoś mi podał. Potem urwał mi się film. Ocknąłem się nazajutrz. Byłem boso i znajdowałem się w środku ogromnej betonowej rury, a towarzyszyli mi Indianin imieniem Kaktusie Pierze i kilku członków jego plemienia – pociągali z butelek wino, które ponoć dostali ode mnie. Jeden z nich miał na nogach moje buty. Jak widać, po pijaku miałem gest. Tak więc znów lekką ręką pozbyłem się całej trzeźwości, którą wypracowałem. I raz jeszcze uznałem, że najlepiej będzie, jeśli zatrzymam informację o tym wybryku dla siebie. Dręczyło mnie poczucie winy, to fakt, ale też co komu szkodziło, jeśli od czasu do czasu spuściłem nieco pary? Usprawiedliwiałem się przed samym sobą tym, że ograniczałem się do alkoholu i nie sięgałem po narkotyki.

Spędziłem w Rapid City jeszcze kilka tygodni, dopóki z Denver nie nadeszła wiadomość o tym, że miasto nawiedziła jedna z najsilniejszych burz gradowych w historii. Lodowy opad wielkości piłeczek do golfa uszkodził sto tysięcy aut. Następnego dnia spakowaliśmy z Joem graty i wyruszyliśmy do Kolorado. Na miejscu pracowaliśmy w pocie czoła i zarobiliśmy mnóstwo pieniędzy. Zgarniałem mniej więcej tysiąc dolarów dziennie, ale ten nieoczekiwany przyływ gotówki – zamiast mnie uszczęśliwić i dać poczucie bezpieczeństwa – sprawił, że byłem niespokojny i drażliwy. U mnie forsa zawsze oznaczała, że mam na koku. Kiedy byłem przy kasie, odzywała się pokusa. „A może weźmiesz tylko odrobi-

nę? – przekonywałem sam siebie. – Nie musisz od razu iść w calonocne tango. Ot, zabawisz się trochę. Zapieprzasz jak dziki osioł. Zasłużyłeś na przerwę”.

Któregoś piątku po pracy powiedziałem chłopakom, że wracam do hotelu. Nieprawda. Poszedłem prosto do baru. Po kilku kolejkach zagadałem do barmana, że jestem spoza miasta, i zapytałem, gdzie mógłbym się zabawić. Wskazał pobliski nocny klub i dodał, że w okolicy odbywa się impreza, na którą mogę później wpaść. Płacąc, spytałem jeszcze, której części miasta powinienem unikać.

– Trzymaj się z daleka od Colfax – odparł. – Tam wszystko się może zdarzyć. Podziękowałem za tę mądrą radę.

Colfax Avenue ciągnęła się przez ponad trzydzieści kilometrów, biegła przez samo serce miasta, toteż trochę czasu mi zajęło znalezienie miejsca, o którym mówił barman. Dopiero w Aurorze zobaczyłem budynki z oknami zabitymi deskami, motele na godziny, monopolowe, lombardy i grupki facetów okupujących skrzyżowania – i czekających na takiego kutafona jak ja, żeby go ogolić. Bingo.

Wydębienie koki – dobrej koki – od obcego wymaga zachodu. Gdybym podjechał do delikwenta i prosto z mostu poprosił o towar, niemal na pewno dostałbym *stuff* marnej jakości, przeżeniony ze środkiem przeczyszczającym, a może nawet z trutką na szczury. Musiałem znaleźć jakąś miejscową laskę, która spiknie mnie, z kim trzeba, i wybroni przed próbą obrobienia albo czegoś gorszego. Krążyłem przez pewien czas, dopóki nie zobaczyłem drobnej, młodej panienki w dzinsach i obcisłej koszulce. Uznałem ją za bezpieczny wybór; wyglądała, jakby wyszła na wieczorny spacer.

Podjechałem do niej i zwróciłem na siebie jej uwagę. Spojrzała na mnie, lekko unosząc brodę, co znaczyło, że jest gotowa wysłuchać mojej listy życzeń. Opuściłem szybę po stronie pasażera i rzuciłem:

– No co tam?

Przedstawiła się jako Jasmine. Powiedziałem, że rozglądam się za koką, i zapytałem, czy nie ma ochoty się przejechać. Wsiadła i pokierowała nas uliczkami, którymi zagłębiliśmy się w dzielnicę. Nieustannie oglądała się za siebie, jakby się upewniała, że ktoś za nami jedzie. Zapadł zmierzch. Zrobiłem się niespokojny.

– Daleko jeszcze? – spytałem, próbując nadać głosowi lekki ton.

– Kawalek. O, tam. Zatrzymaj się za śmietnikiem.

Zrobiłem, co kazała. Po chwili z ciemności wyłonił się wielki czarnoskóry facet i zapukał w szybę auta. Trzymał w ręku broń. W co ja się wpakowałem? Opuściłem szybę. W tej samej chwili Jasmine złapała mnie za jaja i mocno ścisnęła. Wytrzymałem i nie wrzasnąłem. Wielkoluda najwyraźniej rozbawiło to, że

nie zareagowałem na zamknięcie klejnotów w imadle. Bąknął coś, co zabrzmiało mniej więcej tak: „Siemaszkurwieluzajebiecieciuluczegochcesz?”

Opanowałem drżenie głosu i odparłem grzecznie, że liczyłem na to, iż uda mi się zakupić pewną ilość kokainy, dajmy na to trzy i pół gieta, zatem gdyby zupełnie przypadkiem dysponował rzeczoną ilością, to ja bym reflektował.

– Myślałem, że jesteś glina, ale żaden glina nie byłby na tyle głupi, żeby pytać tu o białą damę. – Dał znak Jasmine i puściła moje jaja. – Mam to. – Otworzył dłoń i pokazał tuzin żółtawych kryształków.

O Jezu. Crack. Nigdy nie paliłem cracku i wcale nie miałem zamiaru. Ale moje położenie wykluczało pertraktacje. Wręczyłem olbrzymowi dwieście pięćdziesiąt dolarów i w zamian otrzymałem działkę. Zacząłem podnosić szybko, ale zanim całkiem się zamknęła, zablokował ją lufą pistoletu. Myślałem, że mnie zastrzeli.

– Jak wrócisz, dostaniesz coś lepszego.

Ruszyłem i z walącym sercem zwróciłem się do Jasmine:

– Mówiłem ci, że szukam kokainy. Nie prosiłem o crack. Nie palę cholernego cracku.

– Jeśli lubisz kokę, crack na pewno też polubisz. A jak nie, to chętnie się nim zaopiekuję i będziemy mogli coś ... wymyślić, co nie?

Zatrzymałem się pod zepsutą latarnią. Jasmine wyjęła z torebki szklaną fijkę. Była okopcona i miała w środku coś, co wyglądało jak grudka pumeksu w kolorze miedzi. Jasmine wyciągnęła rękę. Podąłem jej kryształek. Wpatrywałem się jak zahipnotyzowany w jej długie paznokcie i obserwowałem wprawę, z jaką nabiła fijkę. Podgrzała ją płomieniem zapalniczki i kryształek się rozpuścił, skwiercząc i pryskając. Potem przyłożyła fijkę do ust i wciąż trzymając ją nad ogniem, wciągnęła kłębek białego dymu, który zebrał się w środku.

Kiedy już nie mogła dłużej wytrzymać, wypuściła powietrze, zamknęła oczy i odchyliła głowę.

– O jaaa ...

Podąła mi fajeczkę. Zawahałem się. Wciągałem kokainę od prawie dziewięciu lat. Lubilem to. Wiedziałem, jak to się robi. Rzecz miała swoje minusy, ale dawałem sobie z nimi radę. Strach i ego nie pozwalały mi zbliżyć się do cracku. Crack waliły męty, a ja byłem przecież maratończykiem, na litość boską. To nie była moja bajka.

– Po prostu spróbuj. Zrobi ci dobrze jak nic innego.

Wziąłem od niej fijkę. Rozpaczliwie pragnąłem się nawalić.

– Tylko troszeczkę.

Wybrałem małą porcję i włożyłem ją do fajki tak jak Jasmine. Rozgrzałem grudkę i wciągnąłem dym. Naraz moją głowę porwał jaśniejący soniczny podmuch: słyszalne światło, widzialny dźwięk. Przyzwyczailem się, że w przypadku kokainy trzeba poczekać na haj. To jednak było coś zupełnie innego. Istniało jedynie tu i teraz, obląkańczo cudowna, świetlista terażniejszość. Nigdy wcześniej nie czułem się tak wielki i dobry. To był mój Wielki Wybuch, moje odrodzenie. Rozwikłanie zagadki. Byłem w stanie myśleć wyłącznie o tym, że chcę więcej.

Kiedy skończyła nam się pierwsza porcja, wróciliśmy do miejscówki przy śmietniku. Odlecieliśmy jeszcze cztery razy w ciągu kolejnych dwudziestu czterech godzin. Wielkolud i ja zostaliśmy kumplami. Wiedział doskonale, że nie musi mnie okradać, bo prędzej czy później sam oddam mu wszystkie pieniądze.

Drugiego dnia skończyła mi się forsa. Jasmine była zniecierpliwiona. Zapytała, czy mam kartę kredytową. Powiedziałem, że owszem, ale gotówkę mogę wypłacić tylko w banku, a za nic nie pójde do okienka w takim stanie.

– Zapomnij o banku – odparła radośnie. – Idziemy do centrum handlowego!

Pozwoliłem jej prowadzić. Zaparkowała na rogu, na którym kręciło się paru chłopaków. Jeden z nich błysnął spluwą. Jezu, znowu broń, tu chyba wszyscy ją mają. Od lat kupowałem kokainę i jeszcze nigdy nie widziałem pistoletu. Jasmine wysiadła i poszła pogadać z kolesiami. Jak na komendę odwrócili się i popatrzyli na mnie. Przestraszyłem się i zacząłem się powoli przesuwac na fotel kierowcy. Po chwili Jasmine wróciła, prowadząc ze sobą chłopaków.

– Okej, załatwione. Pojadą z nami. Kupisz każdemu po kurtce startera i dostaniesz, co chcesz.

Chłopcy usiedli z tyłu i pojechaliśmy do eleganckiego centrum handlowego Cherry Creek; tydzień wcześniej kupiłem tam spodnie. Wiedzieli, do którego sklepu pójść. Udałem, że oglądam skarpetki, a oni klócili się o to, któremu przypadnie kurtka z logo Oakland Raiders. Wreszcie każdy wybrał sobie ciuch i podeszliśmy grupą do kasy. Zapłaciłem kartą American Express. Chłopaki założyły nowe szmaty i wysypały się ze sklepu. Ależ szczęśliwa rodzinka! Kiedy wróciliśmy do auta, posprzeczałi się o to, który ma mi zapłacić towarem. W końcu doszli do porozumienia i dostałem crack za jakiś tysiąc dolarów – zapas na kilka dni ...

... który wypaliłem do wieczora tego samego dnia. Nawet Jasmine się dziwiła. Powtarzała, że bym zwolnił, zrobił sobie przerwę, zostawił trochę na potem. Wiedziałem jednak, że nie będzie żadnego potem. Miałem świadomość, że ostro dałem dupy. Drugi dzień z rzędu nie stawilem się w pracy. Od kilku dni nie rozma-

wiałem z Pam. Chciałem, żeby haj trwał jak najdłużej, bo nie byłem pewien, co po tym wszystkim ze mnie zostanie.

Otworzyłem oczy. Czulem suchość w ustach, miałem popękane, spuchnięte wargi. Usiadłem na łóżku i zobaczyłem, że Jasmine zniknęła. Podeszedłem do okna i wyjrzałem na parking motelowy. Padał gęsty śnieg. Nie mogłem znaleźć mojego samochodu. Cholera. Założyłem dżinsy i obszukałem kieszenie. Puste. Brak kluczyków, forsy i cracku. Zakręciło mi się w głowie i poczułem mdłości. Klapnąłem na poplamionej, elektryzującej się narzucie. I od razu zerwałem się na nogi. Nie mogłem tu zostać – dotarło do mnie. Rozejrzałem się za kurtką. Ta jednak też zniknęła.

Wyszedłem z pokoju ubrany jedynie w koszulkę z krótkim rękawem, dżinsy i buty sportowe. Ruszyłem East Colfax, brnąc przez gęsty, zacinający śnieg. Kilka przecznic dalej znalazłem budkę telefoniczną. Super. Zadzwonię na policję i zgłoszę kradzież auta. Znajdą je i będę mógł wrócić do domu. Budka śmierdziała sikami, ale przynajmniej dawała jakieś schronienie przed śniegiem i wiatrem. Podniosłem słuchawkę, wduśiłem dziewiątkę i jedynekę, ale zawałem się przed drugą jedyneką. Odwiesiłem słuchawkę. Zastanowiłem się, po czym znów ją podniosłem, wybrałem dziewiątkę, jedynekę i ... nacisnąłem widełki. „Wiesz co, kretynie? – odezwałem się sam do siebie. – Nie możesz zadzwonić po gliny. No przecież nie dzwoni się po gliny”.

Wyszedłem na śnieżyce. Po przejściu kolejnych kilku przecznic zobaczyłem znajomy czerwono-biały szyld. Kiedy podeszedłem bliżej, niemal się rozplakałem, widząc uśmiechniętą, piegowatą dziewczynkę w logo sieci Wendy's. W środku przyjrzałem się menu umieszczonemu na wiszącej na ścianie tablicy za kasami. Nie jadłem od, nie wiem, czterech dni? Wziąłem plik serwetek i wytarłem sobie nimi twarz i ręce. Siedząca w jednym z boksów para z dwójką dzieci zaczęła mi się przyglądać. Poszedłem wyrzucić serwetki. Zobaczyłem, że w pojemniku na śmieci leży na wierzchu pusty plastikowy talerzyk na sałatki. Wyjąłem go i wytarłem mokrymi serwetkami, po czym podeszedłem do baru sałatkowego i zacząłem nakładać sobie sałatę, pomidory, tarty ser i pokrojone w kostkę grzanki.

– Ej! – Gość w koszuli Wendy's machnął na mnie tłustą ręką. – Wynocha stąd!

Upokorzony wymknąłem się na chodnik. Stałem i rozglądałem się po ulicy, zastanawiając się, co dalej, a śnieg osiadał mi na twarzy i ramionach. Mogłem zatrzymać jakiś samochód. Mogłem zadzwonić do Pam, ale ona by mi nie pomogła. Nikt nie mógł mi pomóc. A może położę się tu, gdzie stoję, i zaczekam,

aż przykryje mnie śnieg? Może rodzina pomyśli, że to był wypadek? Że się zgubiłem? Okropna strata.

Zmusiłem się do ruchu. Dotarłem do skrzyżowania i rozejrzałem się, osłaniając oczy przed zacinającym śniegiem. Po lewej stronie, mniej więcej w połowie przecznicy, zauważyłem toyotę 4runner, taką samą jak moja. Z rury wydechowej unosił się obłok spalin; silnik pracował. Ruszyłem w kierunku toyoty – przekonany, że to moje auto, a zarazem pewien, że to nie może być mój wóz. Myślałem tylko o tym, jak bardzo pragnę dostać się do środka, jak tam będzie ciepło. Przyspieszyłem i nagle poczułem strach; naraz z całą mocą dotarła do mnie świadomość tego, że znajduję się tam, gdzie bardzo nie powinienem: ja, białas na dzielnicy, w T-shircie w śnieżycy.

Z bliska zwróciłem uwagę na to, że bagażnik dachowy wygląda identycznie jak w moim samochodzie. Potem przeniósłem spojrzenie na tablicę rejestracyjną i zobaczyłem numery z Karoliny Północnej. Zacząłem biec. Jakaś szeroka kobieta, która z trudem pchała wózek sklepowy przez śnieg, podniosła głowę i popatrzyła na mnie. Otworzyłem drzwi od strony kierowcy i zobaczyłem kompaktki, które rzuciłem na fotel pasażera, i okulary przeciwsłoneczne, które myślałem, że zgubiłem. To była moja fura! Kobieta wrzasnęła, kiedy usiadłem za kierownicą. Zacząłem się cofać i usłyszałem turlające się po podłodze puste puszkki po piwie. Potem wrzuciłem bieg i ruszyłem. Zarzuciło mną na śniegu.

– Tak jest! – krzyknąłem.

Nie mogłem uwierzyć we własne szczęście. Skręciłem raz, potem drugi, rozglądając się za wjazdem na autostradę. Siedziałem w swoim aucie. Było mi ciepło. Byłem wolny. Wtedy usłyszałem za plecami cienkie, przenikliwe wycie, jakby kota. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że z tylnego siedzenia, płacząc, patrzy na mnie wielkimi ciemnymi oczami dziecko, może półtoraroczne, ubrane w niebieski kombinezonik.

Musiałem zawrócić, co też uczyniłem.

– No już – powiedziałem do malucha. – Cicho.

Zobaczyłem tę kobietę. Stała plecami do mnie i trzymała się za głowę. Kiedy podjechałem bliżej, odwróciła się i spojrzała mi w oczy. Zatrzymałem się. Podbiegła do samochodu, otworzyła tylne drzwi, sięgnęła do środka i dosłownie wyszarpnęła dziecko.

Pam nawet nie pytała o moje zniknięcie, bo mogła się domyślić, co się wydarzyło. Nie musiała znać szczegółów. Przyjechała do Denver i została ze mną aż

do końca zlecenia. Miała nowy powód, by pilnować, żebym się nie wykoleił, ja zaś zyskałem nowy argument za trzeźwością: zaszła w ciążę, i to krótko po tym, jak przestaliśmy stosować środki antykoncepcyjne, doszliśmy bowiem do wniosku, że w końcu będziemy chcieli mieć dziecko. Pam z pewnością sądziła, że perspektywa ojcostwa będzie dla mnie potężnym bodźcem do zmiany zachowania. I rzeczywiście podobała mi się myśl o tym, że mogę zostać tatą – nie sądziłem tylko, że stanie się to tak szybko. Byłem przerażony. Wiedziałem, że nie mogę sobie pozwolić na to, żeby znów nawalić. W lutym 1992 roku sprzedaliśmy dom, mimo że na rynku nieruchomości w Monterey trwała recesja, i przenieśliśmy się z powrotem do Atlanty. Dwa miesiące później odebrałem telefon od mieszkającego na Florydzie znajomego, który zajmował się naprawami wgnieceń. Powiedział, że w Orlando spadł grad wielkości piłek do bejsbola i uszkodził tysiące aut; tamtejszy diler Cadillaca sypał zleceniami. Kolega miał tyle pracy, że sam nie wyrabiał, dlatego zwrócił się do mnie z propozycją, żebym przyjechał i mu pomógł. Pam namawiała mnie do wyjazdu. Bardzo, rozpaczliwie wręcz, potrzebowaliśmy pieniędzy, poza tym chyba chciała trochę ode mnie odpocząć.

Sam też miałem ochotę na chwilę oddechu. Na ucieczkę przed ciągłym poczuciem winy w związku z piciem i ćpaniem. Od kiedy dowiedziałem się o dziecku, starałem się być trzeźwy, ale raz na dwa tygodnie zdarzało mi się odlecieć na parę dni. Liczyłem na to, że zmiana miejsca na pewien czas doprowadzi mnie do porządku, ale nie opierałem tej teorii na żadnych konkretnych przesłankach. Nic z tego, nie potrafiłem uciec przed samym sobą. Kiedy w dusznym florydzkim upale długimi godzinami naprawiałem uszkodzenia samochodów po burzy z gradem, nieustannie, jak zapętlony, myślałem tylko o tym, ile w życiu napsułem. Jestem narkomanem i pijakiem. Jestem beznadziejnym mężem i będę beznadziejnym ojcem. Po co miałbym sprowadzać dziecko na ten świat? Jestem narkomanem i pijakiem. Jestem beznadziejnym mężem i będę beznadziejnym ojcem...

Przez pierwszy tydzień, może trochę dłużej, pracowałem i grzecznie wracałem do swojego pokoju. Ale strach i nienawiść do samego siebie powoli kumulowały się we mnie tak, że w końcu musiały znaleźć jakieś ujście. Żadnych prochów, powiedziałem sobie. Tylko ze dwa piwka. Plan byłby wyśmieniony, gdyby nie jeden szkopuł: otóż nigdy, przenigdy nie zdarzyło mi się pójść do domu po wypiciu zaledwie dwóch piw. Ten wieczór nie był pod tym względem wyjątkowy – kilka godzin później, po wielu kolejkach, usiadłem napruty za kierownicą toyoty i wybrałem się do szemranej dzielnicy.

Pierwszym krokiem było, jak zawsze, nawiązanie kontaktu z autochtonką. Szybko znalazłem odpowiednią kandydatkę na znajomą: wysoką i chudą Murzynkę w szpilkach i obcisłych szortach.

Podjechałem do niej i wychyliłem się przez otwarte okno od strony pasażera.

– Co słyszać?

Spojrzała na mnie.

– A u ciebie?

– Dzieje się tu u was coś ciekawego?

– Glina? Bo wyglądasz na glinę.

– Nie, nie jestem policjantem. Po prostu chcę się zabawić. – Z góry znałem odpowiedź, ale i tak zapytałem ją, czy wie, gdzie można kupić kokę.

Pochyliła się i zajrzała do auta.

– Myślisz, że gdzie jesteś? W jebanym Beverly Hills? U nas nie ma śniegu. Co najwyżej crack.

Pokręciłem głową. Miałem świadomość tego, że jeśli wezmę crack, z całą pewnością skończy się to bardzo źle. Zawahałem się, ale i tak już wiedziałem, co zrobię.

– Ile dostanę za stówę?

Wyjęła z kieszeni szklaną fajeczkę i zapalniczkę, a z ust – niewielki kremowy kryształek. Umieściła go w fajce i podała mi.

– Najpierw weźmiesz to.

Wiedziałem, że sprawdza, czy nie jestem gliną. Tym typom zawsze wyglądałem na policjanta, co zresztą nawet trochę mi pochlebiało, choć z postury bardziej przypominałem Barneya Fife'a niż Sonny'ego Crocketta*.

– Rozumiem, że to darmowa próbka – powiedziałem i wziąłem fajkę. Podłożyłem pod nią ogień z zapalniczki i usłyszałem znajome skwierczenie. Kiedy grudka zaczęła się topić, poczułem zapach spalonego plastiku. Długo utrzymałem dym w płucach, a potem wypuściłem go wraz z mimowolnym przeciągłym „Aaaaaach”, kiedy dopamina uderzyła do mózgu.

– Okej. Możemy robić interesy – stwierdziła czarnulka i wsiadła do auta. Miała na imię Monica. Było od niej czuć alkohol, jakąś kwiatową woń i zapach, który skojarzył mi się z wesołym miasteczkiem. Pokierowała okolicznymi uliczkami. – Skręć tutaj. I stań.

* Barney Fife, samochwała z kompleksami, to grany przez Dona Knotts'a zastępca szeryfa z serialu *The Andy Griffith Show*. James „Sonny” Crockett to grany przez Dona Johnsona detektyw przystojniak z serialu *Policjanci z Miami*.

Na rogu siedmiu czy ośmiu gości przekazywało sobie coś z rąk do rąk. Rozglądali się po ulicy, wykonując charakterystyczne kroki tańca dilerów. Zatrzymałem się. Monica wychyliła się i zagadała do jednego z chłopaków, a dwóch innych obeszło mój wóz w taki sposób, żebym wyraźnie zauważył wystające ze spodni pistolety. Po kilku chwilach dostałem to, na czym mi zależało: piękne trzy i pół grama cracku. Skręciliśmy w przecznicę, stanęliśmy przy chodniku i wzięliśmy parę buchów. Potem pokrzyżyliśmy ulicami. Życie było piękne. Wszelkie moje troski zniknęły.

Trzy i pół gieta cracku powinno było wystarczyć nam na całą noc, ale myśmy rozpracowali je w niecałe trzy godziny. Kupiliśmy z Monicą kolejną porcję, tym razem na innym rogu, i wynajęliśmy sobie pokój, cały w ciemnej boazerii, na trzecim piętrze śliskiego motelu, w którym wszystkie drzwi otwierały się na biegnącą wzdłuż budynku zewnętrzną galerię. Imprezowaliśmy, posilając się moim crackiem.

W nocy dołączyła jeszcze jedna kobieta. Mówiła zbyt szybko i nieustannie krążyła po pokoju, aż robiło mi się niedobrze. Kiedy w końcu usiadła, tak mocno ruszała oboma kolanami, że trząsł się telewizor na szafce. Odsuwałem się od niej, ilekroć do mnie podchodziła. Wreszcie spłoszyła mnie tak, że uciekłem do łazienki. Monica i ta druga zaczęły rozmawiać absurdalnym teatralnym szeptem; przez cienkie drzwi słyszałem wyraźnie każde słowo.

– Ile ma kasy? – zapytała ta ruchliwa.

– Splukał się – odparła Monica. – Ma tylko crack.

Monica sprawiała wrażenie, jakby mnie bronila, ale nie byłem do tego stopnia nawalony, żeby uwierzyć, że naprawdę to robi. Po prostu nie chciała się dzielić.

– Ty, weź mu daj tyle, żeby urwał mu się film. Weźmiemy, co zostanie – powiedziała nowa.

Otworzyłem drzwi do łazienki i stanąłem w progu. Obie spojrzały na mnie.

– Wiem, czego potrzebujesz – odezwała się nowa i pokazała Monice, żeby podała mi fajkę. Wciągnąłem do płuc wszystko, co tam nawsadzały, cały dym, aż do ostatniego obłoczek. Za kogo one mnie mają? Przecież jestem supermanem.

– Ojacie... – mruknęła Monica.

– Ale z ciebie pojebany świr – powiedziała jej koleżanka, powoli kręcąc głową. Potem wstała i wyszła.

A mnie wciąż było mało.

– Weź przystopuj, co? – powtarzała Monica, co mnie tylko nakręcało. Ja miałbym przystopować? Nawet rozebrała się przede mną, dając do zrozumienia, że seks wchodzi w grę. Ale mnie interesowało wyłącznie ćpanie.

Kiedy towar się skończył, poszliśmy dokupić. Ten rytuał powtarzał się przez kilka kolejnych dni. Czasem wychodziliśmy w ciągu dnia, czasem dopiero po zmierzchu. Kilka razy Monica poszła sama kupić gorzałę. Byłem rozbity, kiedy wychodziła. Na zmianę siadałem bez ruchu na łóżku, wgapiając się w drzwi, przekonany, że ktoś je wyważy, albo stawałem przy oknie, wyglądając zza zasłonki i wypatrując złego, który bez wątpienia czaił się za progiem. Rozkręcałem głośno telewizor, ale i tak słyszałem kroki, syreny, krzyki, ryk silników i śpiew ptaka o dziwnym głosie, który moim zdaniem wcale nie był śpiewem ptaka, tylko jakimś sygnałem. Przykładałem oko do judasza w drzwiach, pewien, że ktoś patrzy do środka. Kiedy Monica w końcu wróciła po którymś wyjściu, niemal rozplakałem się z ulgi. Wręczyła mi torebkę ze szczoteczka i pastą do zębów; kupiła ten zestaw przede wszystkim z myślą o własnym dobrym samopoczuciu, bo już od kilku dni nie myłem zębów.

Trzeciego albo czwartego dnia naszej imprezy usłyszeliśmy w telewizji, że sąd uniewinnił białych policjantów, którzy pobili Rodneya Kinga. W Los Angeles i w innych miastach w całym kraju – również w Orlando – wybuchły zamieszki. Ekipa miejscowej telewizji znajdowała się w samym środku zdarzeń w jednej z dzielnic. Pokazano powybijane szyby w sklepach i okupujący ulice rozwścieczony tłum.

– Ej, to moja ulica! – powiedziała Monica. – Dwie przecznice stąd.

Nagle ktoś zaczął walić do drzwi. Prawie się posrałem ze strachu.

– Monica! – odezwał się męski głos. – Monica, otwieraj!

– Cholera – mruknęła i ku mojemu przerażeniu otworzyła drzwi.

Do środka weszło dwóch największych facetów, jakich widziałem w życiu. Jak przez mgłę pamiętałem, że Monica kazała im przyjść, gdyby mieli jakiś towar do opchnięcia. Coś jednak było nie tak. Wydzielali złe fluidy, psuli mi haj. Chciałem, żeby wyszli. Kupiłem od nich trochę towaru, licząc, że w ten sposób ich splawię. Kiedy się wreszcie zmyli, zabraliśmy się do prochów, które od nich dostaliśmy, i od razu się zorientowałem, że zrobili mnie w bambuko, bo towar był fatalny, po prostu beznadziejny.

– Dupki – skwitowała Monica, choć byłem pewien, że celowo ustawiła mnie z tymi kolesiami. Istniał tylko jeden sposób na to, by poczuć się lepiej: kupić więcej prochów. Dobrych prochów. Pojechaliśmy w to samo miejsce, w którym ostatnio się zaopatrywaliśmy, ale tym razem sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Na chodniku i po jednej stronie ulicy tłoczyły się setki ludzi. A na jezdni płonął samochód. Wyczułem niebezpieczną, negatywną energię. Kupiliśmy, co chcieliśmy, i prędko wróciliśmy do pokoju. W telewizji pokazali, jak tłum w Los Ange-

les wyciąga białego kierowcę z kabiny pikapa i rozwała mu głowę. Siedzieliśmy z Monicą na brzegu łóżka i wpatrywaliśmy się w ekran.

Nie było innego wyjścia, by poradzić sobie z tym wszystkim, jak tylko się nawalić, najmocniej, jak to możliwe. Ćpaliśmy, dopóki starczyło nam towaru, a potem chyba straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, usłyszałem brzęczący na szafce nocnej telefon. Wyciągnąłem rękę i szukając po omacku słuchawki, straciłem szklanekę z wodą.

– Czego? – wychrypiałem.

– Wypierdalaj stamtąd!

Monica. Ledwo docierało do mnie, że nie ma jej ze mną w pokoju, tylko wrzeszczy mi do ucha ze słuchawki.

– Uciekaj natychmiast. Mówię poważnie. Idą do ciebie goście, którzy ci wcisnęli trefny towar. Człowieku, oskubią cię i zajebią. Przepraszam – dodała ciszej.

Wyskoczyłem z łóżka. Cały dygotałem. Potrzebowałem zaćpać, żeby jako tako myśleć. Przetrzęsnałem cały pokój. Opróżniłem szuflady w szafce nocnej, obmacałem wykładzinę, szukając okruszków cracku. Przejrzałem kieszenie w ciuchach. Nie znalazłem towaru, ale, o dziwo – pamiętając poprzedni raz – natrafiłem na kluczyki do samochodu. Wyszedłem na zewnątrz, przechyliłem się przez barierkę i zobaczyłem mój wóz stojący pod jedyną działającą latarnią na parkingu.

Zbiegłem po metalowych schodach. Na parterze usłyszałem gniewne męskie głosy i schowałem się w cieniu. Spojrzałem za róg, ale nikogo nie zobaczyłem, więc pobiegłem między autami i dopadłem do swojej toyoty. Pomimo zamroczenia narkotykowego przypomniałem sobie, że nie mam możliwości otworzenia drzwi po cichu, bo kiedy nacisnę guzik na pilocie, alarm zapika, a przednie światła zaświecą.

Znów usłyszałem gniewne głosy i spojrzałem w górę. Po schodach po lewej stronie wchodziły te dwa olbrzymy, które odwiedziły nas dzień wcześniej. Z kijami bejsbolowymi. Noc była na tyle cicha, że wyraźnie słyszałem, o czym rozmawiali:

– Białas jest tak głupi, że nawet się nie zorientuje, co go trafiło. Założę się, że duřeń otworzy drzwi i wpuści nas do środka, tak jak poprzednio. Dzięki Rodneyowi Kingowi dziś możemy wszystko.

Patrzyłem, jak podchodzą do moich drzwi. Zostawiłem włączone światło, poza tym zasłonka była lekko odsunięta – od tego mojego ciąglego wyglądu. Jeden z wielkoludów zajrzał do środka, a drugi odwrócił się i lustrował parking. Pik-pik! Błysnęły światła i schowały się bolce blokujące drzwi w mojej toyocie.

Widocznie wzdrygając się, mimowolnie nacisnąłem guzik. Równie dobrze mogłem krzyknąć: „Ej! Tutaj jestem!”.

Obaj mężczyźni popatrzyli w dół. Zamarłem, kiedy spojrzeliśmy sobie w oczy. Położyłem dłoń na klamce. Niestety, zbyt długo zwlekałem i alarm zdążył się załączyć. Zaczął wyć i buceć, emitując coraz bardziej natrętne i drażniące dźwięki. Olbrzymi zerwali się do biegu.

Wskoczyłem do auta, włożyłem kluczyk do stacyjki, przekręciłem i... nic. Nie chciał zapalić. Napastnicy pokonali schody i zmierzali w moją stronę z uniesionymi kijami. Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że przed uruchomieniem silnika muszę wyłączyć alarm. Wdusiłem przycisk i spróbowałem ponownie. Wreszcie się udało, ale kiedy silnik się włączył, głośniki ryknęły z taką mocą, że miałem wrażenie, jakby ktoś siedział za mną w aucie i wrzeszczał. Ale nie, to tylko kawałek *Head Like a Hole* Nine Inch Nails.

Wrzuciłem wsteczny i ostro zakręciłem kierownicą. Przejechałem swoim zderzakiem po aucie zaparkowanym na sąsiednim miejscu, po czym zaczepiłem o jego przedni zderzak i urwałem go. Wrzuciłem bieg i dodałem gazu – i w tym samym momencie tylna szyba mojej toyoty pękła od uderzenia kija bejsbolowego. Krzyknąłem i ruszyłem z piskiem opon. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że olbrzymy mnie gonią. Jeden z nich cisnął we mnie kijem, ale ten nie doleciał i potoczył się w stronę krawężnika.

Zerknąłem w lusterko wsteczne. Wsiedli do wozu – akurat tego, któremu urwałem zderzak; nie odpadł do końca, tylko wisiał z jednej strony, tak że samochód cały czas o niego zaczepiał, jakby chciał go przejechać niczym upartego śpiącego policjanta. Wystrzelili do przodu, aż poleciały iskry. Zarechotałem głosem pasującym do klimatu kaca po czterodniowym balu na cracku i pognałem ulicą.

Jadąc, zerkałem w lusterko, bo spodziewałem się, że w każdej chwili zobaczę ścigający mnie na pełnych obrotach wóz, jak, nie przymierzając, w *Policjantach z Miami*. Nic takiego nie nastąpiło. Wyglądało na to, że bezpośrednie zagrożenie minęło. Ściszyłem muzykę i się rozejrzałem. W tylnej szybie toyoty ziała dziura, która na sto procent wzbudzi podejrzania każdego policjanta na patrolu o tej godzinie. Mogłem temu zaradzić, po prostu opuszczając szybę. Wcisnąłem guzik, szyba jęknęła, zjechała mniej więcej do połowy i odmówiła współpracy. Puszcząłem i wduszałem przycisk, ale na próżno, motorek wył i stękał, ale nie ruszał.

– Do ciężkiej cholery! – krzyknąłem.

Silniczek dalej mielił. Poczulem dym. W końcu się poddał, tak jakby tylna szyba wreszcie pogodziła się, że już bardziej się nie opuści. Kilka sekund póź-

niej zgasły przednie światła, a zapaliły awaryjne. Potem zapadła cisza. Silnik się wyłączył. Poczulem się jak w szybowcu tracącym wysokość. Skręciłem ostro w prawo, chcąc zjechać z drogi. Kierownica się zablokowała; tak samo hamulce. Samochód potoczył się i powoli zatrzymał pod kątem czterdziestu pięciu stopni do barierki wzdłuż ulicy.

Chciałem ukryć strzaskaną szybę, żeby nie zwrócić na siebie uwagi, a stanąłem prawie w poprzek drogi! Światła awaryjne migaly, oświetlając dziurę w oknie. Od czterech dni paliłem crack i piłem. Była czwarta nad ranem, a ja byłem prawdopodobnie jedynym białym w promieniu piętnastu kilometrów, i to akurat wtedy, kiedy znaczną część kraju ogarnęły chaos i przemoc na tle rasowym. W dodatku musiałem się przemieszczać piechotą.

Zanim ruszyłem dalej, uznałem, że to dobry moment na porządki, tak jakbym czystym autem mógł zasłużyć na więcej szacunku ze strony pomocnego funkcjonariusza, który się przy mnie zatrzyma. Wyrzuciłem puste puszki i butelkę po wódce – kiedy ją wypilem? – w rosnące przy drodze wysokie zarośla. Znalazłem szklaną fajkę na siedzeniu kierowcy – a więc tu się schowałaś! Tam, gdzie leżała, w tapicerce ziała dwucentymetrowa wypalona dziura. Pomacałem się po tyłku i znalazłem identyczną w spodniach. Potem wsadziłem palec w tę dziurę i odkryłem bolesne poparzenie na skórze.

Upewniwszy się, że fajka nie zawiera już nic wartego wypalenia, cisnąłem ją w krzaki i ruszyłem w stronę światel. Miałem prosty plan: iść i się nie rozglądać. Jakies dziesięć minut później podjechał do mnie SUV. Zwolnił. Zerknąłem przez ramię i zobaczyłem, że kierowca opuszcza szybę. Za kierownicą siedział gruby biały mężczyzna bez koszulki. Naszła mnie mdląca myśl, że od pasa w dół też jest goły.

– Podwieźć się, złociutki? – zaczął.

Zignorowałem go i przyspieszyłem kroku.

Nadal jechał obok mnie.

– Złociutki ... ?

Nie patrzyłem w jego stronę.

– Dupek! – wrzasnął dużo niższym głosem i wcisnął gaz. W jednej chwili mój strach przeszedł w oburzenie. Kogo ten zbok nazywa dupkiem? Wróc, to ci skopię tłuste dupsko, pierdolony grubasie! Szedłem dalej, trzęsąc się od nadmiaru adrenaliny. Musiałem zejść z ulicy. Musiałem się przespać. I musiałem wymyślić sposób na wytłumaczenie się z czterodniowej nieobecności.

Idąc, miałem w głowie prośby do Świętego Mikołaja, takie jak: „Obiecuję, że jeśli wyciągniesz mnie z tego, już nigdy, przenigdy nie zawalę”. Wszechświat prze-

ważnie spełniał moje prośby pomimo faktu, że notorycznie nie dotrzymywałem składanych obietnic.

Po kilku minutach zobaczyłem budynek, a na nim duży, rozświetlony napis: „massey cadillac”. Nie wierzyłem własnym oczom. Jakimś cudem trafiłem do swojego miejsca pracy. To był gigantyczny fart, szczęście, na które nie zasłużyłem – później, kiedy było już po wszystkim, nabrałem przekonania, że to jakaś siła wyższa, jakiś łaskawy, wszystkowiedzący super Święty Mikołaj doprowadził mnie do jedyne go miejsca, w którym mogłem znaleźć schronienie.

Wreszcie wiedziałem, gdzie się znajduję. Z tego miejsca mogłem wrócić do hotelu. Dwa dni później odebrałem auto z parkingu policyjnego. Musiałem zapłacić dwa mandaty plus pokryć koszty holowania, co razem dało ponad sześćset dolarów. Uszkodzenia samochodu wyceniono na mniej więcej tysiąc.

Pam udala, że nic się nie stało, ponieważ jedynym sposobem, w jaki jeszcze potrafiła radzić sobie z moimi wybrykami, było wyparcie. Szef puścił mi wyskok płazem. Wiedział, że mam problem z narkotykami, ale byłem jego najlepszym technikiem i dzięki mnie sporo zarabiał. Biedna, poturbowana toyota, która jak-że często odczuwała skutki mojego złego zachowania, chyba też mi wybaczyła.

Oniemiały z wrażenia przyglądałem się przyjsciu mojego syna Brett na świat. Czulem się odmieniony, tak jakbym przeżył cale życie z rozproszonymi emocjami, które szukały punktu skupienia i wreszcie go odnalazly. Brett. Wiedzialem, co czuje. Miłość do niego. Bylem szczęśliwy.

Wiedzialem, mialem absolutną pewnośc, że już nigdy więcej nie tknę narkotyków. Skoro tkwiąca we mnie pustka została szczelnie wypelniona, po co miałbym znów wprowadzać tę truciznę do organizmu? Spędzilem z Pam i Brettem wspanialy tydzień w domu, po czym wróciłem do Wichity w stanie Kansas, gdzie musiałem dokończyć duże zlecenie na naprawę aut uszkodzonych przez grad. Miałem już wtedy własną firmę i zatrudniałem kilku pracowników, między innymi Garretta i Shayne’a, którzy od roku trwali w trzeźwości. We trzech wynajmowaliśmy umeblowane mieszkanie w Wichicie.

Lubiłem fizyczny aspekt swojej pracy i satysfakcję z dobrze wykonanej roboty. Bez przerwy opowiadałem o Bretcie, a im więcej o nim mówiłem, tym bardziej umacniałem się w przekonaniu, że zachowam trzeźwośc. Cieszyłem się, że mroczny okres w życiu mam już za sobą.

Dziesiątego lipca odwiedzili mnie Pam i Brett. Zarezerwowałem pokój w hotelu i wzięłem kilka dni wolnego. Pamiętam, jak leżeliśmy z Pam na łóżku, a po-

między nami kołysał się Brett z rączkami i nóżkami w górze, jak odwrócony żółw. Przepelniała mnie miłość, pragnąłem zrobić wszystko, co było w mojej mocy, aby zapewnić rodzinie bezpieczeństwo.

Zdziwiłem się więc, kiedy po tym, jak odwiozłem Pam i Brett na lotnisko, wybrałem się do północnowschodniej części Wichity. Jechałem uliczkami wśród niekończących się czynszówek. Miałem wrażenie, że samochód sam mnie prowadził. Wiedziałem, że nie chcę tego robić i że to się stanie tak czy owak. Masz dużo pracy, mówiłem sobie. Jesteś świetnym tata. Zrób sobie przyjemność.

Sześć dni później siedziałem na ziemi na parkingu, w otępieniu przyglądając się, jak policja przeszukuje moją toyotę, w kilku miejscach podziurawioną kulami. Wiedziałem, że był diler, była spluwa i było: PAF! PAF! PAF! – kiedy zaczął do mnie strzelać. Wiedziałem, że wcisnąłem gaz do dechy i pomknąłem ulicą, żeby przed nim uciec. Przypomniałem sobie, jak wyszedłem niepewnym krokiem z pokoju w tanim motelu, za który nie miałem czym zapłacić, i zorientowałem się, że zniknęło moje auto.

Najzabawniejsze, że sam zadzwoniłem na policję, żeby zgłosić kradzież samochodu – a oni go znaleźli. Następnie zaczęli opróżniać wóz z przedmiotów, które, jak ich zapewniłem, pozostawili złodzieje. Znaleźli między innymi fajeczkę do cracku, której widok wzbudził we mnie tak kolosalne pragnienie, że gdybym się nie opanował ogromnym wysiłkiem woli, podbiegłbym do gliny i wyrwał mu ją z rąk.

W Beacon House półtora roku wcześniej zrealizowałem wszystkie punkty programu, oprócz tego traktującego o „siłę wyższą”. Byłem ateistą i uważałem, że owa siła wyższa – czy też Bóg – jest zarezerwowana dla ludzi zbyt słabych, by mogli sami sobie pomóc. Nie potrzebowałem tego rodzaju zewnętrznej asysty. Byłem silnym gościem. Pokażcie mi, gdzie się znajduje cel, a sam do niego dotrę.

Wreszcie zrozumiałem, że moje podejście się nie sprawdza. Ani bowiem mój piękny synek, ani żona, ani ojciec, ani firma, ani nawet moje ego – nie pomogły mi pozbyć się nałogu. Miałem dwadzieścia dziewięć lat, siedziałem brudny w rynsztoku, miałem czarne, pokryte pęcherzami palce. Po raz pierwszy w życiu pochylałem głowę i się pomodliłem. Nie była to jedna z tych modlitw, w których człowiek prosi Boga, aby ten uratował mu tylek „jeszcze tylko ten jeden raz”. Była prawdziwa, szczerą i prosta. Poprosiłem, żeby wyleczył mnie z ciągót do narkotyków i alkoholu. Poprosiłem, żeby jeszcze mnie nie zabierał.

Policja mnie puściła. Byłem oszołomiony i wyczerpany, ale zdawałem sobie sprawę, że wydarzyło się coś ważnego. Poczulem, że uchyla się przede mną bra-

ma więzienia, jakim jest uzależnienie. Nie rozumiałem, jak to się stało, ale byłem gotów przez nią przejść.

Jeszcze tego samego wieczoru poszedłem na mityng AA. Większość mówców opisywała typowe zaniki pamięci i nadużywanie zaufania rodziny.

Potem wstał jakiś mężczyzna i zaczął opowiadać o pasji. Powiedział, że musimy znaleźć duchowy łącznik z czymś, co darzymy szczególnym uczuciem. Dodał, żebyśmy zastanowili się nad ilością czasu, który poświęciliśmy na branie, planowanie brania i powrót do siebie po braniu.

– A teraz wypełnijcie ten czas czymś innym. Czymś znaczącym.

Rano wstałem i założyłem strój do biegania. Wyszedłem z mieszkania i poczułem żar podnoszący się z ulic miasta. Skręciłem w boczną uliczkę, włączyłem timer w zegarku i ruszyłem. Nogi miałem słabe i drżące, a oddech ciężki. Zacząłem się obficie pocić. Truczna wychodziła ze mnie wszystkimi porami, tak że swędziało mnie całe ciało. Po dwudziestu minutach zawróciłem i musiałem zmierzyć się z gorącym wiatrem od przodu. Zanim dotarłem do budynku, w którym mieszkałem, zrobiło mi się niedobrze i poczułem dziwne dreszcze. Z bólu zgąłem się wpół, z trudem łapiąc powietrze. Kobieta w minivanie zatrzymała się i zapytała, czy nic mi nie jest.

– Po prostu się przegrzałem – odparłem, myśląc, że mógłbym jej odpowiedzieć: „Po prostu mam zjazd po sześciodniowym tangu z crackiem”. – Dziękuję za troskę. – Machnąłem słabo ręką.

Tego dnia poszedłem na trzy spotkania AA, a przez kolejne sześć miesięcy byłem na co najmniej jednym mityngu dziennie. Znalazłem sponsora, który nakłonił mnie do przejścia wszystkich dwunastu kroków. John nie dawał sobie wciskać ciemnoty. Od razu zapowiedział, że jeśli nie będę robił, co mi każe, mam sobie poszukać innego sponsora. Przestrzegalem jego zasad. A kiedy o drugiej nad ranem czułem się roztrzęsiony i zdesperowany, dzwoniłem do niego.

Co dwa tygodnie latałem do domu na weekend, żeby zobaczyć się z Pam i Brettem. Pam rozumiała, że inaczej być nie może: jeśli chciałem uratować swoje życie, chwilowo musiałem się od niego odsunąć. Czas upływał mi na pracy, chodzeniu na spotkania oraz bieganiu. Biegałem nad rzeką i wśród pól kukurydzy. Biegałem samotnie i z grupą. Codziennie nie mogłem się doczekać, kiedy pójde pobiegać i zatracę się w rytmie. Biegając, przypominałem sobie, co powiedział o pasji tamten mężczyzna na pierwszym mityngu; że musisz znaleźć coś, co będzie się dla ciebie liczyło tak bardzo, że zrobisz wszystko, by tego nie stracić; coś tak cennego i potężnego, że zdławi chęć sięgnięcia po używkę.

Stopniowo uświadomiłem sobie, że mam coś takiego. Bieganie. Uwielbiałem biegać. Potrzebowałem biegania. Nic innego nie dawało mi tak silnego poczucia czystości, skupienia i radosnego wyczerpania. W czasie mojego półrocznego wychodzenia z nałogu nie było dnia, żebym nie biegał. Garrett i Shayne żartowali, że zamieniłem jedną manię na drugą. Śmiali się ze mnie, kiedy wracałem nakręcony z biegu i dzieliłem się z nimi najnowszymi objawieniami dotyczącymi związków, trzeźwości i firmy. Nie chodziło jednak po prostu o przerzucenie się z jednego nałogu na drugi. Uniesienie, którego doświadczałem po długim, wyczerpującym biegu – to buzowanie endorfin, którego długo nie potrafiłem zdefiniować – było czystsze i rozkoszniejsze niż wszelka przyjemność po zażyciu narkotyków. Prochy i alkohol były dla mnie sposobem na ucieczkę od życia. Bieganie miało być moim sposobem na przejście przez nie.

FRAPUJĄCE I WYJĄTKOWO SZCZERE WSPOMNIENIA ŚWIATOWEJ KLASY ULTRAMARATOŃCZYKA

Biegacz to fascynująca opowieść o człowieku, który przekroczył granice ludzkiej wytrzymałości i przeżył życie na krawędzi.

Dean Karnazes, biegacz wyczynowy, autor książki Ultramaratończyk

Biegacz sprawi, że będziesz zarazem śmiał się i płakał. Książka ta zmieni twoje postrzeganie tego, co możliwe i niemożliwe, a także wzbudzi w tobie niekłamany podziw. To przede wszystkim głębokie i niesamowicie autentyczne świadectwo rzeczy wspólnej nam wszystkim: mianowicie tego, co znaczy naprawdę być człowiekiem.

Rich Roll, sportowiec wyczynowy, autor Ukrytej siły

Koka, rzeki piwa, nieustające kłamstwa i opowieść zaczynająca się za kratkami – tego chyba nikt się nie spodziewa, gdy sięga po książkę pod tytułem *Biegacz*. Charliego – autora i głównego bohatera – można nie lubić, nie rozumieć, uważać za palanta czy też irytować się, gdy popada w samozachwył. Ale trzeba mu przyznać, że potrafi uwodzić swymi historiami niczym Szeherezada. Ta książka będzie pewnie jedną z najciekawszych biegowych lektur, jakie przeczytaliście. Jest opowieścią o ucieczce, poszukiwaniu sensu, zamiłowaniu do życia na krawędzi, o rajdach przygodowych i niewyobrażalnie trudnych wyzwaniach biegowych. A także o przemianie bohatera – lecz bez kiczu ani pompy. Przeczytajcie, choćby tylko po to, by dowiedzieć się, jak to jest przebiec 217 kilometrów po więziennym spacerniku...

*Magdalena Ostrowska-Dołęgowska
współautorka książki Szczęśliwi biegają ultra*

Biegacz to fascynująca lektura i zarazem dowód słuszności tego, o czym zawsze byłem przekonany: że bieganie to najlepszy lek – pomaga odzyskać wiarę nie tylko w siebie, lecz również w możliwość, jakie daje życie.

Bart Yasso, redaktor „Runner’s World”

ISBN: 978-83-7579-557-8

PATRONAT MEDIALNY:

bbl
BiegamBoLubię

Bieganie →
magazin biegacza

trener
biegania
pl



9 788375 795578

Cena: 39,90 zł (w tym 5% VAT)